

## Dagerotyp

ne. Pięćdziesięcioletni poeta, po nieudanym występie na dworze królewskim, zdruzgotany i załamany, kolejny raz szuka zrozumienia u dyrektora Teatru Narodowego w Kopenhadze. Ten jednak ulatnia się i biedny Andersen zostaje z jego żoną, wielką aktorką (późną mużką tamtych czasów) Johanną Luisą Heiberg. Wieczór, ona pisze jakąś szablonową sztukę sceniczną, popija „syrop na wzmocnienie”. Andersen się denerwuje, lecz powoli beładny dialog przedzierzga się w opowiadany dramat. Gesty i słowa wymykają się spod kontroli bohaterów, i obnażają. Słowa oskarżające nie są zbyt przyjemne, jak dżdżysta pogoda, podczas której z ziemi wypełniają dżdżownicę. Enquist zapewnia, że brudne stworzenia w czasie deszczu stają się czyste.

Enquist zapewnia, a ja mu nie wierzę. Po pierwsze, wzajemne oskarżania i obnażanie się prowadzi do perwersji; potwierdza to psychologia „głębi”, z której szwedzki autor korzysta. Po wtóre, pisanie o dołach społecznych XIX wieku z pozycji statusu szwedzkiego pisarza to kokietowanie liberalnością. Po trzecie, wątpliwe kwestie w ustach wielkiego pisarza są niewątpliwie tylko autorstwa Enquista. Po czwarte, nie wierzę z wrodzonej przekory. Nie wierzę w metaforę, która mogłaby oczyścić kogokolwiek z czegośkolwiek.

Tych kilka wątpliwości nasunęło się w czasie lektury dramatu, a zostały one podtrzymane po obejrzeniu realizacji jego na Scenie Kameralnej Teatru Lubuskiego. Dlaczego? Sztuka jest przecież mi-



Henryka Bielawska jako Johanna Luisa Heiberg i Hilary Kurpanik w roli Hansa Christiana Andersena.

Fot.: TADEUSZ AMBROŹ

strzowsko napisana, otwiera ją i zamyka wspomniana już metafora dżdżownicy (inaczej: glist; ten zamiennik jest

silniejszy). Akcenty dramaturgiczne rozłożone równomiernie powodują narastanie napięcia. Znajduje to motywację w

charakterze osób i w ich działaniu, może tylko Andersen uchwycony został zbyt powierzchownie. Przy czym lektura dramatu ma tę przewagę, że didaskalia są zapisane w formie przypuszczającej i mają posmak poezji. Miałem nawet wrażenie, że autor nie wie jak zacząć temat, a może to miało nasunąć skojarzenia z dziewiętnastowiecznymi dagerotypami?

Reżyser Wandzie Laskowskiej zabrakło konceptu i cierpliwości. Stątyczny początek nie ma nic wspólnego z dynamiczną liryką Enquista; w przedstawieniu jest to uproszczone i rutyniarstwo. Podobne zaniedbania w roli Lysej, która w spektaklu zielonogórskim nie była lysa i nie spełniała warunków charakterystycznych, o których autor pisze: „bardzo stara kobieta jest mocno przywiązana do fotela, sprawia absolutnie makabryczne wrażenie”. Dalej wiążę się to z umownością, aktorzy po pierwszej akcji opuszczają scenę widziani przez publiczność i także samo wkraczają w drugą akcję. Czyż nie można całkowicie wyciemnić? A poprzez to nie wprowadzać umowności w umowności. Potem jednak jest już dużo lepiej, obraz się klaruje i sztuka aktorska też.

Henryka Bielawska z początku w krótkich spięciach dialogowych gra jakby obok, a może inaczej: nie trafia. Jednak, gdy dochodzi do dłuższych kwestii, opanowuje słowo, a nawet w monologu, gdy opowiada o swojej pierwszej ofierze, Hermanie, zachwyca. Słowo przylega do gestu.

Hilary Kurpanik, jak zwykle równy, co trochę staje się denerwujący. Ale w tym spektaklu można było odkryć kilka jego cech nie tak widocznych w poprzednich sztukach. Operowanie krótkim zdaniem i ironia. O ile tym pierwszym odkrył komiczne cechy w postaci Andersena, to tym drugim pogłębił filozoficznie jego sylwetkę, zwłaszcza w scenie przy klawikordzie.

Pozostałe dwie role są epizodyczne. Danuta Ambroź, chociaż stale obecna, jest tylko niemyym świadkiem rozgrywających się scen. A Zdzisław Grudzień jako Johan Ludwig Heiberg jest przekonującym arystokratą, którego nie obchodzą egzystencjalne niepokoje dwojga ludzi z dołów społecznych.

Na zakończenie, zacytuję w opozycji do spektaklu, innego współczesnego bohatera dramatu, tym razem genialnego Duńczyka, Kierkegarda: „nie warto państwa o takiej przeszłości, która nie może stać się teraźniejszością” („Bojaźń i dręenie”).

WALDEMAR MYSTKOWSKI

Per Olov Enquist: Z życia glist. Przekład: Andrzej Krajewski-Bola. Zielona Góra, Teatr Lubuski im. Leona Kruczkowskiego. Premiera: 12 maja roku 1984 na Scenie Kameralnej. Reżyseria: Wanda Laskowska. Scenografia: Marek Tomasiak.

„Z życia glist” — ten nieco prowokujący tytuł nosi sztuka szwedzkiego pisarza Per Olova Enquista. A owe niezbyt przyjemne życie, aczkolwiek w wymiarze metafory, dotyczy samego wielkiego bajkopisarza duńskiego Hansa Christiana Andersena i... Trzy kropki stąd; że polskiemu widzowi, a także mnie, nie są znane inne sławy kultury duńskiej: i Johanna Luisa Heiberg, i Johan Ludwig Heiberg. Spieszę z wyjaśnieniem (za programem do przedstawienia): to współczesni autor „Brzydkiego kaczątka”, którzy stali w hierarchii społecznej na jej szczytach. A z hierarchią jest tak, że burzy ją historia, pozostawiając tylko rzeczywiste wartości. Reprezentantem tych ostatnich został właśnie tylko Andersen. O co chodzi współczesnemu szwedzkiemu dramaturgowi w „obrazie rodzinnym z 1856 r.” (bo taki jest podtytuł sztuki)? Pytanie wcale nie retorycz-